

Trakt do Denowa
Nieco później, noc

– To jakieś theatrum z tym Dymitrem – rzekł Dydyński, kiedy jechali po nocy z Kosztowej na Bachorzek, gdzie został Mykoła na straży wyładowanych wozów. – Po prostu Plauta

albo Terencjuszowa komedia! Sam królewski błazen Stańczyk lepiej by tej historii nie wymyślił, a Sebastian Klonowic w *Worcu Judaszów* nie opisał!

– Pan hetman Zamoyski mówi to samo – wymamrotał Świrski z ustami pełnymi suchej kiełbasy, którą jego długi nochal wywęszył w jukach grasantów. – Że dla prywaty gospodarczyk Dymitrij zaciąga swawoleństwo w Rzeczypospolitej i chce Koronę i Litwę wciągnąć w nową wojnę, łamiąc traktaty zawarte z carem Borysem Godunowem.

– Dymitr czyni zaciąg? To znaczy chce wyprawić się na Moskwę i zbrojnie odbić tron na Kremlu?

Pęto kiełbasy znikło bez śladu w przepaścistej gardzieli Świrskiego. Aż dziw, gdzie się to wszystko podziewało, pocztowy był bowiem chudy jak chmielowa tyka. Dydyński przypomniał sobie, że przecież jeszcze w Przemyślu posilali się w karczmie – dosyć skromnie, bo na stół zażyczył sobie tylko gęś, ćwiartkę skopowiny, parę chudych kapłonów, pieczeń wołową, pięć sztuk sera, ze trzy bochenki chleba i pół beczki piwa, a na dodatek garniec bigosu hultajskiego z kapustą. Jednak byli przecież niedaleko od domu, gdzie na pewno czekał na nich suto zastawiony stół.

– Cała historia zaczęła się w zeszłym roku, mospanie. – Świrski pociągnął łyk gorzałki z bukłaka. – Na dworze księcia jaśnie pana Adama Korybuta Wiśniowieckiego w Brahimiu. W łaźni.

– E, nie tak... – jęknął blady Nieborski, który jechał na wozie obok nich. – Przed śmiercią Dymitr wszystko wyjawiał... Na spowiedzi... Do kroćset!

– Te, lepiej leż i się kuruj, panie bracie – mruknął Dydyński. – Nie gadaj za wiele, bo ci się rany rozejdą!

– Jak na spowiedzi, skoro widzieliśmy go żywego? – zaoponował Świrski. – Mnie ludzie powiadali, że pewnego razu, kiedy książę Jadam wybrał się do łaźni, jakiś sługa, brzydkie i szpetne chłopczysko, coś mu przewinił. I za to pan dał pachotkowi w gębę. *Gdybyś wasza miłość wiedział, kim jestem, nie biłbyś*

mnie i nie przeżywał w ten sposób – odparł rękodajny. Ale skoro jestem twoim sługą, i to z pokorą znieść muszę. A kto ty znowu taki jesteś? – spytał książę i oczywiście na takie dictum¹⁰ dał mu zaraz w gębę z drugiej strony. A wtedy młodzian przyznał, że jest Dymitrem Iwanowiczem, synem cara moskiewskiego Iwana Groźnego, którego tyrannus i car terażniejszy, tfu, jaki tam car – wielki książę moskiewski Borys Godunow, kazał zarezać w Ugliczu, gdzie przebywał z matką, księżną Nagoj. Dymitr dowodził, że został cudownie ocalony przez Simona, Niemca z Kilonii, który wyprowadził go skrycie z miasta, a zamiast jego ciała podłożył trupa wiejskiego chłopca.

– No proszę – skwitował Nieborski, który chociaż ranny, był ciekaw historii Dymitra jak wdzięków nadobnej kurtyzany. – Pierwszy to chyba przypadek w historii, że szlachcic, brat nasz, bił po gębie carewicza i następcę tronu.

– I bodaj nie ostatni – mruknął Dydyński – bo całe to plemię moskiewskie grube i sprośne jest, i w ogóle nie warte, aby na nich pluwać. Znam ja moskiewską grubianitas, powiadał mi ojciec, jak wojował za Stefana i Augusta o Inflanty. Niewart moskiewski książę choćby naszego psiarczyka, bo każdy z nich szelma, wor i śmierdzące bydlę. W polu do walki nie stanie, na powitanie czołem bije, a kamień za pazuchą nosi i miecz w plecy wrazi, gdy się odwrócisz – taki to naród zdradliwy. Moskale by i diabłu przysięgali wierność, byle im majątkości pomnożył.

– Całej historii początek był taki – ciągnął pocztowy – iż car dawniejszy Moskwy, Iwan zwany Groźnym, którego pobił pan nasz Stefan Batory, był dla Moskwy srogim tyranem, co w tamtych stronach nie dziwota, bo to naród sprośny, plugawy i skurwysyński, a bez kija ani przystęp. Ten Iwan miał żon sześć, albo nawet siedem, z których potomstwa doczekał się tylko z pierwszą, to jest z Anastazją Romanową – Iwana i Fiodora. A z ostatnią – Marią Nagoj – miał tego właśnie Dymitra. Iwan jak to Iwan, figliki różne czynił połowicom. Marię Dołgoruką

10 łac. – powiedzenie

utopił w jeziorze, bo prawicą nie była, inną – Annę Kołtowską – posłał do klasztoru. Zalecał się, powiadali, nawet do siostr naszego pana Augusta Anno 1560, jednak żadna mu w smak nie przypadła, bo za chude były, a baba – onym moskiewskim grubym obyczajem – musi być sążnista jak stara kobyła. Tak więc miał Iwan summa summarum^{<11>} trzech synów. Z czego jeden, Fiodor, słaby był na umyśle, a drugiego, Iwana, sam ojciec własną ręką zabił. Fiodor po śmierci Groźnego na tron wstąpił, ale rządził jak pijany woźnica. Bez przerwy kazał bić we dzwony na Kremlu i przysłuchiwał się, czy mu we łbie zadźwięczą. Sprowadzał też sobie opętanych i szaleńców, których oni w Moskwie zwą jurodiwymi, modlił się z nimi i wzdychał do Boga. Nic dziwnego zatem, że rządy przejął możny bojar Borys Godunow, zięć Maluty Skuratowa, najwierniejszego sługi starego diabła Iwana. Widząc, że Fiodor nie ma dzieci, postanowił zasiąść na tronie, w czym wadził mu ostatni, najmłodszy syn Groźnego – Dymitr Iwanowicz, który przebywał wraz z matką w Ugliczu. Miał ten Godunow dzieci: Fiodora Borysowicza i Ksenię, która ma teraz lat około...

– Dość, dość! Ty nam powiadaj o Dymitrze, a nie o Borysie!

– A więc Borys Godunow postanowił małego Dymitra zarzezać. I Anno 1591, lat temu trzynaście, ułożył sprzysiężenie. Zawołał dwóch synów bojarskich, zwanych Mikita Koczałow i Daniłka Bitiagowski, którzy byli clientes^{<12>} Borysowi. Rzekł zatem do nich Borys, że jest wola hospodarska, aby jechali do Uglicza, ubili małego carewicza Dymitra, gdyż różni ludzie chcą wszcząć bunt i usadowić go na tronie. A kiedy bojarzynie nie chcieli o tym słyszeć, powiedział im Borys: *Przywiodę was do hospodara, to sami usłyszycie z jego ust*. I wprowadził ich do pokoju carskiego, a kiedy bili czołem Fiodorowi, powiedział coś po cichu wielkiemu księciu na ucho – podobnym fortelem, jak Messalina onus terrae^{<13>} oszukała Klaudiusza, swego męża,

11 łac. – suma sum, czyli podsumowując

12 łac. – klienci, czyli słudzy

13 łac. – ciężar ziemi

cesarza rzymskiego. Tych przykładów, rzecz jasna, Borys nie znał, bo ani czytać, ni pisać nie umie, chociaż szczone bydlę. Potem kazał wyjść obu bojarom, a do Fiodora odezwał się: *Nie chcą mi wierzyć, co im twoim imieniem hospodarskim rozkazalem, powiedz im sam, że to jest wola twoja.* Car Fiodor, rozumiejąc, iż idzie o to, o czym z nim mówił po cichu, a nie o gardło jego brata, przywołał bojarów i rzekł im: *Uczyńcie, jako wam Borys rozkazywał.* Jakoż pojechali do Uglicza i zarżnęli małego carewicza. A przynajmniej tak potem powiedzieli Borysowi. Bo oto nagle po dwunastu latach pojawił się w Rzeczypospolitej, w Brahimiu, cudownie uratowany Dymitriaszka. I pokornie prosił o posłuchanie.

– A co dalej? Bo na razie wszystko pasuje do siebie akuratanie.

– Akuratnie jak młody kuś do starej piczy – podsumował Dydyński. – Bujdy i bajania z tym zabójstwem w Ugliczu. Powiadał mi kupiec jeden moskiewski, Semen Wołkowski-Owsiany, iż od dawna wszem wobec było wiadomo, że kniaź Dymitr sam się zabił w Ugliczu, kiedy grał w pikuty. Pytał o to nawet pan Sapieha, kiedy do Moskwy posłował. I taką samą dostał od Moskali odpowiedź.

– A cóż na to Wiśniowiecki? – dopytywał się Nieborski. – Kazał Dymitra oćwiczyć czy uwierzył?

– Dał mu karocę z poszóstnym cugiem i sześciu hajduków. A potem wyprawił po znajomych dworach i zamkach, aby wieść poszła w Polskę. I wnet poczęli zjawiać się ludzie, którzy chcieli Dymitra obejrzeć. Najpierw przyjechał do Brahimia jegomość Lew Sapieha, kanclerz Wielkiego Księstwa, a co więcej, przywiózł ze sobą chłopca, co był niegdyś powinnym carewicza Dymitra. Ujrzy chłopisko carewicza i buch na kolana! Aż zaniemówił z wrażenia. A to dlatego, że kiedy w Moskwie służył, Dymitr zwał go Pietruchą, gdy zaś do naszej Rzeczypospolitej uciekł, to on już nie był Pietrucha, ale Jurij Pietrowski. Głowę dałbym, że jego synowie zwać się będą Piotrowskimi. I pewnie wiarę odmienią, a potem osiądą gdzieś w Małopolsce. Tak to

każdy cham, co się śrubuje na szlachectwo w Małopolsce, pisze się z Mazowsza albo z Ukrainy, a na Mazowszu z Małej Polski.

– Rozpoznał Dymitra?

– Carewicz sam go powitał. A wtedy Pietrucha stwierdził, że poznaje swego pana i przyszłego wielkiego księcia po nierównych rękach i brodawkach.

– Też go poznałem po brodawkach – wtrącił z przekąsem Dydyński. – Co za wzrost, co za poza, co za majestat. Prawdziwy imperator rzymski! Ale, co tu dużo gadać, każda nacja ma takiego Juliusza Cezara, na jakiego zasługuje.

– Wystarczyło świadectwo jednego chłopca, aby zdobyć pańską łaskę?

– Ważniejsze niż świadectwo Pietruchy było to, że sam car Borys Godunow, skoro się o tym dowiedział, zaniepokoił się i zaczął wysyłać poselstwa. Pierwsze do Konstantego Ostrogskiego – z Atanazym Palczykowem na czele. Drugie do Wiśniowieckiego. Co więcej, obiecał nawet, że odda księżętom Przyłuki i Sniatyń na samej granicy, o który była między nimi wieczna wojna, bo tam limes¹⁴ nie został dokładnie wyznaczony, jeśli wydadzą mu Dymitra. A te grody to prawie stolica Wiśniowieczyzny zadnieprzańskiej.

– I co dalej?

– Kiedy Wiśniowiecki odmówił, car kazał wojewodzie czer-nihowskiemu zburzyć gródki, wyrznąć ludność i kozaków. I tak dał powód do wielkiej nienawiści do siebie, bo teraz wiadomo już, że Wiśniowieccy ziemię i niebo poruszają, aby poszukać zemsty na carze.

– Trochę daleko z Brahimia do Moskwy.

– Cóż z tego, skoro Wiśniowieccy mają w rękę Dymitra, którego zaczęto zwać samozwańcem, carzykiem czy rostrygą? Albo słoneczkiem naszym, umiłowanym carewiczem, najjaśniejszym, przesławnym świętej Rusi obładitелеm – zależy, której strony posłuchamy. Wnet ruszyli w Ruś i w Polskę wichrzyciele, pod-

14 łac. – granica

żegacze i dalejże agitować za Dymitrem – że biedny, nieszczęsny prawowity następca tronu. Że z rąk siepaczy cara Godunowa uszedł. Że trzeba Moskwę uwolnić od Borysa, to wtedy w sojuszu z Rzeczpospolitą rozkwitnie. A pod koniec zeszłego roku Konstanty, brat Adama, wziął sprawy w swoje ręce i najpierw przedstawił Dymitra naszemu najjaśniejszemu panu, a potem nuncjuszowi Rangoniemu. A w lutym, o, w lutym sprawy Dymitra tak wysoko stały jako wieże zamku krakowskiego na Wawelu. Pokazał bowiem Konstanty Wiśniowiecki swego carzyka Jerzemu Mniszchowi, wojewodzie sandomierskiemu w Samborze.

– I co Mniszech? Nagle został partyzantem sprawy carewicza?

– Nie tylko go poparł, ale również zgodził się dać za niego swoją córkę Marynę. Tę młodszą, czwartą w kolejności, bo córek, proszę waszmości, u Mniszchów chowa się cały kierdel. I to zarówno w Samborze, jak i u braci pana wojewody. Policzmy zresztą – Herakliusz zginał palce: najstarsza, Anna, poszła za Piotra Szyszковского, kasztelana wojnickiego. Urszula za Konstantego Wiśniowieckiego. Wesele było roku Pańskiego tyśiąc sześćset trzeciego, dziewiętnastego janariususa, wesołe, aż dwóch gości umarło z przepicia – pan Apolinary Suchorzewski i Jakub Pełka z naszego powiatu. A Eufrozyna ma iść – jak słyszałem – za Jordana z Zakliczyna.

– Też niezła partia.

– A najmłodsza Maryna będzie carową moskiewską.

– Niezły frant z wojewody – mruknął Dydyński. – Zgaduję, że biorąc wzgląd na swój mizerny majątek, nie oddał córki pro publico bono¹⁵ i z wielkiej przyjaźni do Dymitra?

– Dymitr spadł panu staroście jakoby święty wybawiciel z nieba, bo jegomość wojewoda Mniszech jest w wielkich kłopotach. Po tym jak dostał Anno 1588 ekonomię samborską, wyproszoną u króla przez biskupa krakowskiego Maciejowskiego, nie płacił rat dzierżawnych i kwarty nie tylko z Sambora,

15 łac. – dla dobra publicznego

ale i z żup ruskich. A kiedy miał z tego sprawę zdać na sejmie, dowodził, że sama tylko nędza i mizeria, że sąsiedzi źli, Tatarzy sprośni tudzież konfederaci wojskowi, szelmy i wydziercy wniwecz wszystko obrócili. I z tego miał długów, jak powiadali, na ponad czterdzieści tysięcy złotych!

– To wszystko fałsum, a wywodami jaśnie oświeconego wojewody można sobie tylek podetrzeć – mruknął Dydyński. – Byłem ja w Samborze i widziałem, na co poszły te sumy. Na opatrzenie zamku i Luxurię¹⁶, w której pan wojewoda kocha się mocniej niż stary dziad w młodej dziewicy. Na okna ze szkła weneckiego, na drzwi fładrem sadzone, na piece malowane i posadzki dębowe, stolarskiej roboty. Na kominy ciosowe, rzeźbione, na podniebienia sufitowe z kasetonami, na marmurowe odrzwia, na komnaty i izby obite brytami adamaszku i atłasu. Na brokatele, suknie, żupany, delie, szuby, dołomany, ferezje i szpalery! Na sześć koni u karocy i hajduków we srebrze. To wszystko kosztowało fortunę. A powiem waszmościom, że kiedy Dymitr jedną bramą do Sambora wjeżdżał, drugą przyjechała królewska komisja, bo na trybunale roku Pańskiego tysiąc sześćset trzeciego wzięli staroście w sekwestr całą ekonomię. Obiecywali komisarze, że pana Mniszcha puszcza w samych batystowych gaciach, które sprowadzał z Gdańska. A przecież szelma wojewoda lat temu ze czterdzieści wziął z braćmi trzysta tysięcy, zagrabił po królu Zygmuncie Auguście srebra i klejnoty koronne, więc pieniędzy miał jak lodu na Wiśle. Pytanie, gdzie to poszło!

– Od najważniejszych długów wojewoda ledwie się wykupił – wtrącił Nieborski – sprzedając majątności dziedziczne i płacąc królowi dwadzieścia osiem tysięcy złotych.

– Dlatego też Dymitr trafił się Mniszchowi jak ślepej kurze ziarno. I wojewoda chętnie swadźbił mu córeczkę, która, jak powiadają, równie hardej jest natury, co jej ojciec.

– Znam Marynę – skwitował krótko Dydyński. – Bywałem w Samborze i rączkę jej całowałem. Miła to rączka, miła

16 łac. – bogini rozpusty i pychy

i twarzyczka, ale partia nietęga dla tych, co lubią żony w domu trzymać. Nie jest to dziewczeczka, co w cichości dworku będzie ci kwiatuszki wyszywać. Ale opowiadajże dalej o Dymitrze!

– Za ślub z Maryną i poparcie swojej sprawy dał wojewodzie carewicz czternaście zamków siewierskich i – jak powiadają – milion złotych polskich na podróż jego córy do Moskwy.

– A Maryna? Wziął ją na piękne oczy?

– Gdzież tam. Jako wiano poszedł Psków i Nowogród – ten sam, który ojcu jego się rebelizował. Ponadto przyobiegał jej klejnotów i złota ze skarbu carskiego na kolejny milion złotych.

– Buuuu, cha, cha – roześmiał się Dydyński. – Tak samo ja mogę darować waszmości karzełka, co w brokatach na zamku w Łańcucie chodzi. Jedź teraz i odbierz go sobie od Stanisława Diabła Stadnickiego. Czy wojewoda myśli, iż car Borys odda mu Siewierszczyznę, kiedy się go grzecznie poprosi?

– Aż tak głupi nie jest. A jego czyny dowodzą, że ma łeb na karku. Primo zatem: w marcu tego roku ukazał Dymitra królowi Zygmuntowi w Krakowie i o wsparcie poprosił.

– Znaczy musiał mu Dymitr coś obiecać. A cóż by Szweda uradowało? Przywrócenie utraconej korony i unia z Moskwą, jak zgaduję?

– Trafnieś wpadł, panie bracie. Aż mnie dziw, że żaden Dydyński w senatory nie poszedł.

– Bywali! – rzekł z przekąsem pan Jacek. – I jeszcze będą niejedni.

– Chyba tacy – wtrącił Nieborski – co usługiwali senatorom. Jeno tym drążkowym, słomianym...

– Ciebie, panie pocztowy, jak kiedyś w łeb palnę, to aż ci rozum w piętę pójdzie. I może wreszcie urośnie tobie coś, co chłopu potrzebne! Czego, jak wnioskuje po słowach, wielki masz niedostatek! Leż lepiej i milcz, bo drugi raz nie będę wołał cyrulika.

– Panowie przyjmowali Dymitra w Krakowie jak udzielnego księcia – ciągnął Świrski. – Szóstego martiusa na uczcie piarsarz wielki litewski Maciej Wojna rozpoznał go jako carewicza,

a trzeba pamiętać, że ichmość pan widywał małego księcia dzieckiem.

– A potem – mogę się tylko domyślać – coraz to ktoś nowy rozpoznawał Dymitra?

– W rzeczy samej. Kto tylko frant i łeb ma na karku, ten zaraz gnał do Sambora bić Dymitrowi czołem i dziwować się – że taki podobny do ojca, że majestat ma prawdziwy, carski, że będą go wspierać, że wreszcie pójdą z nim na Moskwę.

Wszelako Dymitr nic nie uzyskał od króla. Chciał przekonać naszego pana do wojny z Godunowem, jednak Zygmunt przyjął go chłodno i tyle carewicz dostał, że Waza pozwolił Mniszchowi obrócić zaległe sumy z Sambora na przygotowanie moskiewskiej wyprawy.

– Skoro się nuncjusz przy nim kręcił, więc chyba Dymitr musiał rewokować na naszą wiarę?

– Nic pewnego nie wiem, ale ponoć obiecał Rangoniemu oraz Ojcu Świętemu, że nawróci Moskali. Za to król dał mu medal i ze czterdzieści tysięcy rocznego jurgieltu.

– Alchemik Waza darował tyle intraty fałszywemu carzykowi?

– Dymitr przyobiecał, że zawrze z Rzeczpospolitą przymerze przeciwko Szwecji, a nade wszystko odda ziemię smołęńską, a do Moskwy sprowadzi jezuitów.

– Mnożą się jak te pluskwy! Tak więc poza nimi jedynie Mniszchowie i Wiśniowieccy wspierają Dymitra?

– Nikt z panów koronnych nie wierzy Samozwańcowi. Bo prawdę powiedziawszy, trochę to ryzykowna impreza. Ale wojewoda i Wiśniowieccy rozpisali zaciągi.

– Ryzykowna? Prościej chyba Tatarów wykurzyć z Budzianku albo chana z Bachczysaraju!

– Kozacy już się zbierają. A z nimi ochotnicy z Polski – w Samborze i pod Glinianami. Ataman Koreła i Mierżakow znad Donu uznali carewicza prawdziwym następcą tronu i nie chcą dłużej służyć Godunowowi. Tak samo Zaporozcy chcą iść na Moskwę. Przystał też do Mniszcha Adam Dwo-

rycki, po tym... – zająknął się Świrski – sam wiesz waszmość po czym.

– Wiem. Niechaj idą wszyscy z Bogiem. Mniej będzie kpów w Rzeczypospolitej, kiedy ich carzyk wyprowadzi za granicę.

– Bogactwa są do zdobycia w Moskwie – rozmarzył się Nieborski. – Zamki wielkie, cerkwie złote, ikony diamentami sadzone, skarbcze kremlowskie i bojarskie. Panny cudne, sobole i futra! Tylko iść i brać, bo cóż znaczy Moskwa przy naszej jeździe? Ot, plewy na wietrze. – Dmuchnął w otwartą dłoń.

– A zapał przekłułeś i oczyściłeś, panie Nieborski? – zapytał grobowym głosem Dydyński. – Czy znów strzał na panewce spali? A przecie prosiłem jak przyjaciel – przekłuj zapał, bo mistrz Sztolc przy tym pistolecie fuszerkę odstawił, że wart, aby go kijami dobrej roboty nauczyć!

– Ja zaraz poprawię, podsypię, proszę waszmości – zajączkał Nieborski.

– Teraz to leż. Za późno. Po co w ogóle były ci takie nowomodne pistolety? Nie starczyłyby ci kołowe półhaki albo pufery?

– Gadali, że te celniejsze.

– Kto gadał? Pludraczy we Lwowie? Na trzy razy, co je z olstra dobyteś, czy chociaż raz wypaliły? Nie chce ci się, panie zapominalski, kółka nakręcać i sprawiłeś sobie pistolety z flintą, bo gadają, że z Niderlandów nowe idzie. O małość przez to nowe nie zginął, inni musieli za ciebie karku nadstawiać. I ty chcesz iść na Moskwę? Z bokiem przebitym? Boli?

– Boli, jegomość. Jak diabli.

– Tedy leż w spokoju, bo do Denowa jeszcze pół mili. A ty, panie Świrski, milcz już, bo mi łeb pęka od waścinego gadania.

– Wedle rozkazu!



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki